



MOJA DROGA DO KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO

Wywiad z dr. Gavinem Ashendenem¹

Gavin Ashenden jest byłym duchownym anglikańskim, który przez wiele lat służył jako kapłan i przez kilka lat jako biskup anglikański. Przez dziewięć lat był członkiem Królewskiego Domu jako kapelan królowej Elżbiety II (2008–2017). Przez wiele lat wykładał na Uniwersytecie Sussex (m.in. literaturę i psychologię religii). Ponadto prowadził wykłady z teologii systematycznej na Uniwersytecie w Brighton. Był niezależnym dziennikarzem w BBC, a także autorem tekstów do „The Times” i „The Telegraph”.

W latach osiemdziesiątych był wiceprezesem Keston College. W tym czasie zajmował się także przemysłem Biblii i lekarstw do byłego Związku Radzieckiego i Czechosłowacji oraz niezależnej literatury (samizdatu) z tych krajów na Zachód celem ich publikacji. Doświadczenia bycia okazjonalnie aresztowanym i przesłuchiwanym przez KGB i inne służby bezpieczeństwa krajów „za żelazną kurtyną” podczas wizyt w tym rejonie, odegrały ważną rolę w kształtowaniu się jego poglądów na temat totalitaryzmu i świadomości zagrożenia, jakie marksizm stwarza dla wolności słowa i wiary.

W dniu 22 grudnia 2019 r. został przyjęty do Kościoła rzymskokatolickiego przez biskupa Marka Daviesa w katedrze Shrewsbury. Obecnie większość jego prac w ramach posługi duszpasterskiej i działalności dziennikarskiej można znaleźć w Internecie oraz w artykułach publikowanych w „Catholic Herald”, gdzie pisze jako świecki katolicki apologeta. Publikuje także artykuły w prasie świeckiej i religijnej.

Zbigniew Przybyłowski: Chciałbym rozpocząć pytaniem dotyczącym Twojego procesu rozeznawania. Czy mógłbyś nam opowiedzieć o tym, jak zdecydowałeś się zostać katolikiem, będąc na stanowisku, które wydawało się być wysokie w hierarchii Kościoła anglikańskiego? Czy miałeś jakieś wątpliwości i zastanawiałeś się, czy katolicyzm to właściwa droga czy nie wybrać czegoś innego np. Kościoła prawosławnego?

Gavin Ashenden: Wyzwaniem może być udzielenie zwięzłej, ale dostatecznie wyczerpującej odpowiedzi na to pytanie.

Wychowałem się w szkole przy katedrze anglikańskiej. Potem studiowałem prawo. Podczas lat spędzonych na uniwersytecie doświadczyłem

¹ Tłumaczenie w wersji poprawionej i uzupełnionej przygotowane przez Piotra Bednarskiego.

ponownego przebudzenia wiary w duchu ewangelikalnym dzięki misjom ewangelizacyjnym na uniwersytecie.

Kiedy byłem w seminarium, przez przypadek trafiłem – myślę, że to był błogosławiony przypadek – do greckiego klasztoru prawosławnego. To były lata odnowy charyzmatycznej. Zatem kształtował mnie anglikanizm, pozostałości katolicyzmu, które manifestują się w architekturze katedr i naszej religijnej pamięci w Anglii. A ponadto protestancka odnowa charyzmatyczna i prawosławie.

To wszystko były elementy, które znałem i byłem za nie bardzo wdzięczny, bo chrześcijanie często zaczynają się bać tych aspektów duchowości, w których nie mają doświadczenia. Potem zostałem wezwany do rozeznania powołania do kapłaństwa w Kościele anglikańskim.

Po pobycie w klasztorze prawosławnym powiedziałem: „Panie, to chrześcijaństwo o wysokiej jakości. Bardzo mi się to podoba”. Odkryłem Modlitwę Jezusową i polubiłem trudne rozmowy teologiczne z prawosławnymi zakonnikami. W ten sposób położone zostały fundamenty, dzięki którym mogłem lepiej rozumieć siebie w kontekście zjednoczonego Kościoła – tego sprzed Wielkiej Schizmy w 1054 roku.

Cieężko jest wytłumaczyć ludziom – nie anglikanom, anglikański sposób myślenia, ponieważ jest nietypowy. Jest to związane z hybrydową naturą Kościoła anglikańskiego, z tym jak Kościół anglikański powstał na Wyspach Brytyjskich. Ponad połowa naszych kościołów została zbudowana przez katolików.

Wielu widzi początki Kościoła w Anglii w roku 597. Tak jakby anglikanizm był drugim „silnikiem napędowym” katolickiego projektu, połączonym z nim, ale „odpalonym” przez Reformację, która zainspirowała nas, ale rzekomo nie oddzieliła nas całkowicie od Rzymu.

Wielu z naszych słuchaczy od razu pomyśli, że jest to historyczna fikcja i że to wcale tak nie było. Prawdziwa historia Kościoła anglikańskiego w XVI i XVII wieku zaczęła się od brutalnego zniszczenia zakonów przez Henryka VIII, który był oczywiście katolickim monarchą z nazwy, ale nie w swojej polityce. Po nich nastąpiły obustronne palenia na stosach pod rządami królowej Elżbiety i katolickiej królowej Marii. Aczkolwiek robiąc nieprzyjemne porównanie – Elżbieta wznosiła stosy dłużej niż Maria i było ich więcej. Potem w XVIII wieku anglikanizm był bardzo nijaką formą oświeconego protestantyzmu, w którym nie było nic katolickiego, poza tym, że ukradliśmy, zagarnęliśmy czy pożyczliśmy wszystkie katedry i parafie.

Taka jest anglikańska mentalność. Kiedy coś się anglikanom podoba, to nazywają się spadkobiercami 1500 lat tradycji katolickiej historii. A kiedy

im się nie podoba mówią, że są niezależnymi, zreformowanymi chrześcijanami. Trzeba zrozumieć tę duchową i kościelną schizofrenię, gdy patrzymy na drogę anglikanów, zwłaszcza patrząc na odniesienie anglikanów do Kościoła rzymskiego. Próbuję tu wytłumaczyć, że jako anglikanie byliśmy w stanie sobie schlebiać, że nie musimy zostawać katolikami, ponieważ już nimi jesteśmy i wzięliśmy najlepszą część katolicyzmu.

Gdy papież był trudny, mogliśmy się zdystansować, ponieważ nie byliśmy z nim związani, a gdy był inspirujący, jak Jan Paweł II, mogliśmy powiedzieć: „Oto nasz wspólny Papież”. Zatem przywołanie kontekstu historii pomaga zrozumieć, że nie jest łatwo rozpoznać te sprawy. Duch Święty powoli wyjaśnia nam te sprawy, a także to jak i kiedy powinniśmy wrócić do Kościoła katolickiego.

Myślę, że były 3 powody, które zadziały jak katalizator. Pierwszym była decyzja o święceniach kapłańskich dla kobiet i fakt, że było w tym bardzo mało teologicznego rozumienia seksualności i relacji między płciami. Święty Paweł mówi nam o tym i to jest ważne, zarówno jeśli chodzi o sposób, w jaki antagonizmy między płciami są leczone przez Chrystusa, ale też o większe antagonizmy między ludźmi u władzy a innymi ludźmi: między kobietami i mężczyznami, niewolnikami i wolnymi, Grekami i Żydami itp. Jest mało teologicznego zrozumienia, jaką rolę odgrywa płeć, np. sposób w jaki Bóg Ojciec jest określony mianem Ojca a ziemia – mianem matki i ciągłe napięcia, które znajdujemy w Starym Testamencie między niebieskim Ojcem a matką Ziemią. Między transcendentnym Stwórcą i religiami płodności. To wszystko znajduje się gdzieś na teologicznym tle i jest to coś, o czym nie mówi większość ludzi. Będąc pod presją progresywizmu, Kościół anglikański zdecydował się udzielać święceń kapłańskich kobietom, nie licząc się z Kościołem powszechnym. Wiele osób zatrzymało się i zapytało: czy jest to na pewno właściwy kierunek rozwoju? Czy nie jest to fatalny, przerażający błąd i dodawanie kolejnej schizmy do istniejącej schizmy, czy też jest to bardzo cenne, prorocze spojrzenie? Ale tu nie ma dialogu teologicznego. Jest tylko dialog polityczny. Może to być dla Państwa zaskakujące, ale we wszystkich debatach, których słuchałem dyskutowano tylko o aspektach politycznych. Czemu tylko mężczyźni mogą być księżmi a kobiety nie? Równość wymaga równego traktowania, a argumentacja w Kościele nie wychodziła poza takie stwierdzenia. W tej sytuacji wiele osób w 1991 r. powiedziało: „Może powinniśmy zrobić to, co Gamaliel zaproponował i poczekać na to, jakie będą tego owoce”.

Tak to się zaczęło. Wiele osób od razu dostrzegło, że jest to problematyczna herezja i chwala im za to, za ich przenikliwość i czujność duchową,

lecz wielu, reszta z nas, potrzebowała dużo więcej czasu. W ten sposób powoli zaczęto dostrzegać, że polityka feminizmu wprowadza aspekty kultury świeckiej do Kościoła, powodując rażące wypaczenie wielkiej tradycji. To się stopniowo odstaniało.

W moim przypadku oprócz tego „dostrzeżenia” były dwa inne, szczególnie katalizatory.

Jednym z nich było to, że przechodziłem przez bardzo dziwny okres duchowej opresji. Kiedy próbowałem poradzić sobie z tą niespodziewaną i dziwną opresją, jedną z osób, z którymi rozmawiałem, był mój bardzo dobry przyjaciel – katolicki egzorcysta diecezjalny. Powiedział mi, że to naprawdę nie jest załamanie nerwowe, że nie oszalałem, i że jest to naprawdę diabeł i siły demoniczne i potrzebuję Maryi. Odpowiedziałem, że doceniam Matkę Bożą teologicznie, ale zawsze uważałem, że trudno mi jest odmawiać różaniec. Nie byłem w stanie zrobić tego kroku, ale stało się jasne, że nie mam wyboru. Wziąłem różaniec i odmawiałem go. Modląc się na różańcu, odkryłem najbardziej niezwykle uzdrowienie – szybkie i skuteczne, w tym szczególnym okresie. Bardzo mnie to zaskoczyło i od tego momentu zacząłem przyglądać się przypadkom objawień Maryjnych.

Może to zaskoczyć niektórych słuchaczy, ale anglikanie nie wierzą w objawienia. I muszę przyznać, że dotyczy to nawet biskupów [katolickich]. Gdy badałem objawienia w Garabandal, a potem Fatimę i Lourdes, zrobiłem wywiad z lokalnym katolickim biskupem w moim programie radiowym BBC.

Kiedy skończyliśmy rozmawiać, powiedziałem mu, że to musi być cudownie – być biskupem i móc wziąć swoich diecezjan do Lourdes i jaka to musi być wspaniała pielgrzymka. A on spojrzał na mnie z wielkim zdziwieniem i powiedział: „Ty chyba nie myślisz, że ta głupiotka kobieta naprawdę zobaczyła Matkę Bożą?”. Odpowiedziałem, że chyba tak, tak myślę. Na to odpowiedział mi: „Nie, oczywiście że nie. Musiała mieć pewnego rodzaju młodzieńcze odchylenia psychiczne. Niemniej jest to bardzo dobry powód, by zabrać naszych ludzi na pielgrzymkę, byśmy mogli wszyscy bardzo miło spędzić czas”. Byłem zaskoczony. Powinienem dodać, że kilka lat później odkryto, że prowadził podwójne życie, jeśli chodzi o moralność seksualną. Nie twierdzę, że te zarzuty dotyczą innych biskupów. Tamten zrezygnował z biskupstwa. Ale to był początek mojego zapoznania się z faktem, że praktyczna wiedza o objawieniach Matki Bożej w Kościele i o rozsądnym podejściu do badań, które Kościół prowadzi celem sprawdzenia ich autentyczności lub braku autentyczności, nie jest tak powszechna, jak przypuszczałem.

Po pierwsze odkryłem, że Matka Boża była prawdziwa i jest prawdziwą radością, kiedy stykasz się z Jej dziełami. Odkryłem objawienie, jakie miał św. Grzegorz Cudotwórca w roku 260. Matka Boża i św. Jan objawili mu się w dość krytycznym momencie jego życia na terenie dzisiejszej Turcji. Potem zauważyłem, że od 260 roku nigdy nie przerywała swojej posługi wsparcia dla Kościoła – ciała Jej Syna. Głęboko mnie to poruszyło i sprawiło, że chciałem być najbliżej Maryi jak to tylko możliwe.

I chociaż niektórzy anglikanie wyznają duchowość katolicką, nigdy nie można być pewnym w kręgach anglikańskich, że gdy chcesz się modlić różańcem czy określać Matkę Bożą jej wielkim tytułem Theotokos nadanym przez Sobór w Efezie, nie będziesz po prostu denerwował ludzi lub czy nie będą postrzegać tego jako jakiejś formy aberracyjnego popisywania się. Powoływanie się na Matkę Bożą w kręgach anglikańskich nigdy nie było łatwe, naturalne czy normalne. Przeważnie, z kilkoma wyjątkami.

Kilka lat później odkryłem cuda eucharystyczne. Wiedziałem o Lanciano. Miałem też książkę o średniowiecznych cudach eucharystycznych. Jak wiecie, istnieje zasada interpretacji teologicznej, która zakłada pewien stopień przerysowania w wypowiedziach komentatorów i ludzi wierzących w cud i nigdy nie można być pewnym, że te rzeczy rzeczywiście się zdarzyły, częściowo przez styl, w jakim zostały opisane.

Potem natknąłem się na cud eucharystyczny w Buenos Aires w 1994 roku i kiedy przeczytałem o nim i kontynuowałem lekturę na ten temat, po prostu nie mogłem w to uwierzyć. Pomyślałem o tych wszystkich sporach, które prowadzimy o Arystotelesie i Akwinacie i przeistoczeniu, o tym co dzieje się w czasie Mszy i na miłość boską nie ma o tej kwestii w ogóle mowy.

Ale nie ma co do tego wątpliwości, że właściwie po raz pierwszy nauka przyszła z pomocą Kościołowi i dała jasną, zdecydowaną odpowiedź – Hostia zawierała krew, a kiedy zbadano krew, okazało się, że to krew osoby w agonii z białymi krwinkami z ludzkiego serca. Oczywiście potem od 1994 roku było pięć lub sześć cudów eucharystycznych, np.: Meksyk, Polska. To wszystko zaczęło się układać i doprowadziło do momentu, w którym powiedziałem: „Naprawdę muszę iść na prawdziwą mszę i nie stać mnie na to, by mieć jakiegokolwiek wątpliwości”.

Muszę powiedzieć, że jedną z rzeczy, która skłoniła mnie do przyjęcia propozycji, by zostać biskupem tradycyjnej wspólnoty anglikańskiej, która miała siedzibę w Ameryce, było to, że anglikanie ci twierdzili, że ich sukcesja biskupia pochodzi od biskupa Duarte Costa. Jest on bardzo kontrowersyjną postacią. Był biskupem w Brazylii w 1946 r. i popadł w konflikt

z Watykanem w związku z nazistowską polityką imigracji do Ameryki Południowej. Powiedzmy, że jest barwną i ciekawą postacią, ale to właśnie on udzielił święceń wielu biskupom kościoła episkopalnego. Ja byłem chyba trzecim czy czwartym pokoleniem tych biskupów. To co mnie przyciągnęło była możliwość przyjęcia święceń biskupich, które, jak sądziłem, uzdrowiłyby moje wątpliwości dotyczące autentyczności anglikańskich święceń kapłańskich, które miałem zawsze.

Nawet po tym, wydarzyły się dwa kolejne krytyczne kroki, o czym krótko opowiem.

Pierwszym z nich było to, że jednym z moich zadań była próba zbliżenia do siebie prawowiernych anglikanów, którzy byli oporni wobec progresywnego programu, który był akceptowany i forsowany, najpierw przez amerykańskich anglikanów, a potem przez arcybiskupa Canterbury. Ale było pół tuzina takich grup. To była wojna, która toczyła się z anglikanami i pomiędzy anglikanami w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych w Ameryce i wiedzieliśmy, jaki był rezultat. To skutkowało podziałem katolickich anglikanów, którzy rozpadają się na niezliczoną ilość różnych grup.

Stało się jasne, że jeśli chcemy dokonać zjednoczenia prawowiernych anglikanów w Anglii, będziemy musieli znaleźć sposób na połączenie tych, którzy chcą być ortodoksyjnymi anglikanami. Bardzo szybko jednak odkryłem, że bez Magisterium taka jedność była całkowicie politycznie niemożliwa, to znaczy całkowicie niemożliwa w obliczu różnych teologii, osobistych ambicji i machinacji politycznych.

Po prostu nie było żadnego sposobu na ponowne zjednoczenie różnych ortodoksyjnych grup myślących po katolicku lub nie, z powrotem w jeden Kościół. Jakbyś coś upuścił i to rozpadło się na tysiąc kawałków. Zadanie złożenia tych tysięcy kawałków całości z powrotem jest przytłaczające i prawie niemożliwe.

I właśnie w tym momencie odkryłem, że anglikanizmu nie da się naprawić. Ten fakt a także to, że zostałem zaproszony przez biskupa Davisa, by dołączyć do niego w jego diecezji, to wszystko się połączyło. Jestem pewien, że stało się to pod przewodnictwem Ducha Świętego i to był właściwy czas. W tym czasie biskup Davis zapytał mnie, kiedy zamierzam zostać w pełni katolikiem, a ja odpowiedziałem, że na pewno przed moją śmiercią. On odpowiedział mi wtedy: „A może jednak teraz?”. A ja na to «Cóż, mógłbym to zrobić, gdybym miał parę lat na napisanie książki, którą chcę napisać». Odpowiedział, że nie. Wskazał, że chodzi mu o teraz, o decyzję do przyszłego tygodnia. Myślałem o tym i modliłem się. Nie miałem

powodu, żeby powiedzieć „Nie”. Proszę mi wybaczyć, że to wyjaśniam, ale to była powolna, stopniowa podróż...

To podróż, podczas, której różne części wiary zostały połączone razem i w końcu doszedłem do punktu, w którym nie mogłem zrobić nic innego, jak tylko z radością przyjąć zaproszenie do pojednania się z moją matką – Kościołem.

ZP: Myślę, że to wspaniała historia i wydaje się, że to Matka Boża doprowadziła Cię do Kościoła?

GA: Zdecydowanie tak.

ZP: Jest to trochę dziwne, ponieważ w wielu przypadkach dla protestantów wracających do Kościoła katolickiego, kwestia Maryi stanowi jedną z głównych przeszkód, które muszą pokonać. Jeśli chodzi o przeszkody, chciałbym zapytać cię o moment wstąpienia do Kościoła katolickiego. Zdaje się, że Łódź Kościoła katolickiego, płynie ostatnio wśród sztormu. Czy było to dla Ciebie źródłem wątpliwości lub wahań? Czy wywołało to u Ciebie dezorientację? Ten brak jasności, którego czasem doświadczamy. Czy było to dla Ciebie przeszkodą w przyłączeniu się?

GA: Nie, wręcz przeciwnie. Wspaniałą rzeczą jest to, że będąc anglikaninem przez tak wiele lat odbyłem ostrożną podróż teologiczną i duchową, podczas której badałem autentyczność anglikańskiego punktu widzenia i czyniąc to, musiałem rozważać cnoty kultury świeckiej. Trzeba zadać jedno pytanie: Czy tradycja chrześcijańska była niekiedy zbyt zawężona i krótkowzroczna w niektórych miejscach? I czy czasami kultura świecka nie zadziałała wówczas uzdrawiająco? Z pewnością trzeba było zadać to pytanie i zmierzyć się z nim.

Jedyną rzeczą, która mnie denerwowała, było to, że gdy zostanę katolikiem, to ludzie będą odpytywali mnie, używając tego okropnego wyrażenia: „Czy sądzisz, że trawa będzie bardziej zielona po drugiej stronie?”. Mówili też: „Myślisz, że z katolikami będzie łatwo”, a ja odpowiadałem, że oczywiście, że nie, że taka myśl nigdy nie przyszła mi do głowy.

Dość wyraźnie widać, że prowadzimy ogólnoswiatową, intelektualną i kulturową walkę i jedną z rzeczy, o których powinniśmy rozmawiać są niewątpliwie kryteria czy sposoby myślenia, które stosujemy, by diagnozować to, co dzieje się wokół nas. Aby robić to właściwie, musimy umieć rozmawiać i badać rzeczy pod względem socjologicznym, historycznym

i filozoficznym oraz psychologicznym. I wszystkie testy, związane z tymi dyscyplinami, stosujemy do badania problemów, przed którymi stoimy. Ale musimy być w stanie polegać na Duchu Świętym i prosić o dar rozeznania duchowego. Musimy przyjąć jakąś formę duchowej diagnozy. Widzimy, że Kościół na całym świecie w tym szczególnym momencie historii świata cierpi z powodu najpoważniejszej demonicznej opresji. I to niemożliwe, by jakkolwiek część Kościoła była z tego zwolniona. Wiedziałem doskonale, że kiedy zostanę katolikiem, ponownie włączę się w ten konflikt, który jest może na nieco wcześniejszym etapie, bo katolicy w obliczu tego strasznego ataku na wiarę upadliby dużo później niż anglikanie. Biorąc pod uwagę obietnicę daną Piotrowi, biorąc pod uwagę wagę Magisterium, biorąc pod uwagę potencjalny wpływ dobrego papieża i modlitwy świętych, wierzę, że Kościół może się oprzeć temu konfliktowi.

Nie chodzi tu o pytanie, gdzie trawa jest bardziej zielona. Musimy iść i walczyć tam, gdzie walka liczy się najbardziej, a liczy się najbardziej w domu naszej Matki – w Kościele. Zatem oczywiście tam idziemy i oczywiście tam walczymy. Nie jest dla mnie żadnym zaskoczeniem, że jesteśmy zaangażowani w bardzo problematyczny konflikt w Kościele katolickim. Właśnie dokładnie tego się spodziewałem.

ZP: Czy masz już jakiś konkretny pomysł na to, co chciałbyś robić i jakie stanowisko chciałbyś zajmować w Kościele? Jaka byłaby Twoja rola, jak widzisz siebie? Byłeś biskupem w Kościele anglikańskim, a teraz wstępujesz do Kościoła katolickiego z innej pozycji. Czy masz już plan na siebie, czy po prostu zdasz się na Matkę Bożą i Pana Boga?

GA: Mam nadzieję, że ludzie wybaczą mi, że myślę, iż moje na wpół katolickie episkopalne święcenia pozostają ważne, przynajmniej ważne ontologicznie, ale wyraźnie nie funkcjonalnie. Powodem, że to mówię, nie jest kwestia dumy czy posiadania, ale odpowiedzialności. Bardzo poważnie traktowałem moją misję biskupią i to właśnie dzięki niej, a także dzięki temu, że wydawało mi się, że Duch Święty przemówił do mnie, dwa lub trzy lata temu przeniósłem swoją posługę do Internetu. To było przed pandemią Covid-19. Bardzo spierałem się z Duchem Świętym i powiedziałem: „To będzie bardzo trudne dla mnie i ja nie chcę tego robić”, ale zrobiłem, ponieważ zaakceptowałem moją odpowiedzialność biskupią. Istnieje pewien stopień odpowiedzialności apostołskiej, również za wiarę i dlatego robię to, co robię. Dlatego, że mam ontologiczną motywację.

Funkcjonalnie, mógłbym dokonać rozróżnienia. Być może nie powinno się tego robić, ale jeśli trzeba, to jest to bardziej skomplikowane pytanie. Nie odpowiem na nie w pełni, żeby oszczędzić ludziom zażenowania. Początkowo mój biskup skierował mnie na kurs kapłaństwa w diecezji. Jednak potem dowiedziałem się, że moje dokumenty zaginęły. Spadły i leżały za szafką na dokumenty przez półtora roku. Kto by pomyślał, że coś takiego może się zdarzyć? Muszę powiedzieć, że to mnie zirytowało i przygnębiło.

Zdarzyło się to w okresie, gdy się modliłem się Liturgią Godzin; skarżyłem się Panu i mówiłem: „Boże tłumaczenie psalmów w katolickiej Liturgii Godzin jest naprawdę kiepskie. Jeśli chcesz mi dać kolejne 5, 10, 15, 20 lat życia, to byłoby to dość męczące – modlić się psalmami w tym tłumaczeniu”.

Jedną bardzo dobrą rzeczą w anglikańskiej liturgii było to, że istniało bardzo szczęśliwe połączenie między kompetentnym tłumaczeniem i piękną formą językową. Więc powiedziałem Panu: „Czy moglibyśmy znaleźć sposób, bym mógł się modlić lepszym tłumaczeniem” i stało się dla mnie wtedy oczywiste, że Ordynariat personalny dla anglikanów zapewni mi właśnie taką możliwość w języku angielskim.

Tak więc zadzwoniłem do Ordynariatu i spytałem, czy mógłbym przebieść się tam za zgodą biskupa. To wtedy odkryto, że Rzym nigdy nie otrzymał moich dokumentów i leżą gdzieś za szafką z dokumentami. Tak więc zaczęliśmy od nowa i nieuchronnie musiałem zadać sobie pytanie, czy te trudności były po to, by uniemożliwić mi przyjęcie święceń?

Zdroworozsądkowo oczywiście była to kwestia miejsca, lecz w sensie zdroworozsądkowym, jakie są problemy? Cóż, jednym z nich jest to, że jeśli pozostanę świeckim, a sytuacja polityczna znacznie się pogorszy, to będę miał przynajmniej swobodę mówienia dokładnie tego, co myślę, w przestrzeni publicznej w sposób pełen szacunku i pokory. Mimo wszystko będę w stanie robić to i siła moich uwag będzie zależeć od mojej bystrości i od Ducha Świętego. Z drugiej strony, kiedy ktoś nie przemawia z autorytetem Kościoła... Bardzo mocno tęsknię, przyznaję, za odprawianiem Mszy, tęsknię za tym bardziej, niż mogę to wyrazić. Jeśli zostanę wyświęcony jako zwykły ksiądz, będę mógł odprawiać mszę świętą. Będę mógł udzielać sakramentu pojednania, jak to robiłem przez wiele lat. Będę mógł rozmawiać z władzami Kościoła, ale będę ograniczony.

I nie jest to nie do pomyślenia, że trudności polityczne nękające Kościół katolicki, które sięgają hierarchii, mogą się nie poprawić...i dlatego jest to kwestia rozeznania. Czekam na Pana, żeby to rozjaśnił, na którą z tych

dwóch dróg On chce, żebym wstąpił. W tej chwili jestem, że tak powiem, w połowie drogi.

Piotr Bednarski: Jaka jest różnica między organizacją Kościoła anglikańskiego i katolickiego? Czy możemy wyciągnąć jakieś wnioski z tego, co wydarzyło się w Kościele anglikańskim dla Kościoła katolickiego w zakresie organizacji życia Kościoła, synodalności, zadań i ról poszczególnych grup w Kościele?

GA: Czyli masz na myśli rolę poszczególnych grup w Kościele, czyli sposób, w jaki Kościół anglikański przyjął świecką agendę? Czy to jest sedno pytania?

PB: Tak to jeden z tematów. Mamy, jak wiesz, bardzo ożywioną dyskusję, przynajmniej w niektórych krajach, na temat synodu o synodalności – jest pomysł, by wprowadzić odwróconą piramidę i porzucić strukturę hierarchiczną. W Kościele katolickim, wiadomo, mamy jasną hierarchię, biskupów, papieża, zwłaszcza co do autorytetu w nauczaniu Kościoła. Jak ty to widzisz ze swojej anglikańskiej perspektywy?

GA: Odpowiedź jest nieco bardziej złożona, niż mogłoby się wydawać. Jest wiele rzeczy, które Kościół anglikański robi lepiej niż Kościół katolicki. Jedną z nich jest duszpasterstwo, drugą – zaangażowanie świeckich. Ożywienie chrześcijańskich świeckich jako części ciała Chrystusa, ich zaangażowanie w działalność ewangelizacyjną, duszpasterską i społeczną. To wszystko jest bardzo dobrze realizowane przez Kościół anglikański i mówiąc ogólnie, mniej dobrze przez Kościół katolicki. Ale oczywiście, nie jest tak do końca.

Gdyby synodalność oznaczała rozpalenie na nowo wiary świeckich jako Ciała Chrystusa i pogłębianie wiary, gdy wykorzystać ją do zrozumienia ich duchowego dziedzictwa, w charyzmatycznym ujęciu, w najszerszym znaczeniu i w kategoriach społecznych, byłaby to bardzo dobra rzecz. Można wtedy skorzystać z doświadczeń Kościoła anglikańskiego.

Ale oczywiście nie sędzę, że to będzie oznaczać synodalność. Myślę, że istnieje jej gorsza wersja i obawiam się i podejrzewam, że ta gorsza wersja będzie przyjęta przez większość. Byłem członkiem Synodu Generalnego Kościoła anglikańskiego. Synody w Kościele anglikańskim odbywały się na kilku poziomach, m.in. centralnie, gdzie głosowało 600 osób. Byli to biskupi,

kilku dziekanów, niektórzy teologowie akademicy, jedną trzecią stanowili świeccy wybrani przez swoje wspólnoty.

Można byłoby pomyśleć, że to idealne rozwiązanie, aby ożywić Kościół. W rzeczywistości było to naśladowanie najgorszych aspektów naszego systemu parlamentarnego. Chrześcijanie podzielili się na partie, walczyli, klócili się i wyrażali wszystkie najgorsze aspekty ducha polityki partyjnej.

Tym, co mnie zaskoczyło, był brak chrześcijańskiego sumienia i chrześcijańskiej świadomości, że godzą się na najgorszy możliwy model Kościoła, to znaczy nie tylko naśladowujący świeckie wzory, ale wdrażający je w najgorszy możliwy sposób.

Synodalność funkcjonowała też w Kościele na poziomie dekanatu. Były to grupy, składające się z 10, 20 lub 25 parafii, które spotykały się. Muszę powiedzieć, że były to najnudniejsze spotkania, na jakich kiedykolwiek byłem w całym moim życiu. Wszyscy ich nienawidzili.

Ludzie gadali bzdury, nikt nie wiedział, o czym była mowa. Nie było żadnego programu, bo nie miały one władzy. Był to bardzo uciążliwy sposób przynależności do Kościoła i nie można sobie wyobrazić nic, co z większym prawdopodobieństwem mogłoby zabić lub osłabić lojalność chrześcijanina w stosunku do Kościoła.

Były w końcu oczywiście rady parafialne. Nie wydaje mi się, bym mógł tu generalizować – wszystko zależało od księży, charakteru parafii, jakości parafian, tego co uważali i robili. Gdybym miał generalizować, to większość ludzi uważała udział w radzie za dość żmudne zadanie. Nigdy nie było łatwo zmieniać tych stałych komitetów biurokratycznej administracji w miejsca, w których pewien poziom duchowej przenikliwości współgrał z biurokratycznymi obowiązkami.

Jeśli jednak przyjrzymy się tym trzem przejawom synodalności w Kościele anglikańskim, to były one straszne, niszczycielskie, jałowe duchowo, bezużyteczne, niebezpiecznie politycznie. Najbardziej problematyczne, szczególnie na synodzie generalnym, było to, że na tym wyższym poziomie ludzie wyrażali swoje poglądy w sprawach, w których nie mieli żadnych kwalifikacji.

Nawet biskupi nie byli zbyt dobrze wyedukowani teologicznie czy duchowo. Oczywiście od czasu do czasu były osoby świeckie, które naprawdę miały potrzebne kwalifikacje i zdarzały się momenty, gdy ludzie wygłaszali wspaniałe przemówienia. Były też inne momenty, kiedy Duch Święty przychodził do nas z pomocą. Ale zasadniczo w 95 przypadkach na 100 powiedziałbym, że to były dosłownie diaboliczne organizacje, w których najgorsze elementy dynamiki organizacyjnej dusiły Ducha Świętego w Kościele.

Dlatego jest to rzeczywiście wielka niespodzianka widzieć, jak Kościół katolicki angażuje się w ścieżkę synodalną bez żadnego wstępnego rozważania, że musi dokonać rozróżnienia przede wszystkim w tych dwóch kategoriach, które zasugerowałem. Jedną jest ożywianie, odmładzanie, edukacja i pobudzanie świeckich do działania. Drugą jest naśladowanie politycznego procesu, dając głos ludziom, którzy wiedzą zbyt mało o sprawach, o których mają się wypowiadać.

ZP: Chyba jednym z problemów, które widzimy, jeśli chodzi o synodalność, jest obawa, że może ona prowadzić do fragmentaryzacji Kościoła katolickiego. Jesteśmy jednym Kościołem na całym świecie, nie tak jednolitym jak kiedyś, ale jesteśmy. Uważamy, że przyjęcie synodalności może doprowadzić do nauczania różnej teologii w różnych diecezjach. Czy doświadczyłeś czegoś takiego w Kościele anglikańskim?

GA: Tak, oczywiście. To się stało częściowo przez synodalność, ale częściowo także przez inne czynniki, występujące w Kościele anglikańskim. Nie mogę winić za to tylko synodalności, są też inne przyczyny. Ale masz rację, jednym z problemów jest oczywiście to, że nie słyszałem, by cokolwiek było napisane w prawie wiążącym na temat stosunku między demokracją a autorytetem apostołskim.

Kościół nigdy nie był demokratyczną organizacją. Jedynym wyjątkiem od tej reguły, jak sądzę jest sytuacja, gdy działa on z otwartością na charyzmaty Ducha Świętego. Ale nawet wtedy takie charyzmaty potrzebują być traktowane z największą ostrożnością i wielką troską i z pewnością nie wpasowują się w normę, jaką są procesy synodalne, o których mówimy.

To o czym się tam mówi, co wydaje się być przewidywalne, jest formą demokracji i subsydiarności, jeśli ktoś zamierza używać nomenklatury z Unii Europejskiej. A jeśli chce się używać pojęcia demokratycznej pomocniczości jako modelu dla Kościoła katolickiego, to trzeba wyjaśnić, dlaczego i jak zamierza wprowadzić zabezpieczenia przed rozpadem i podziałem wskutek polityki, interesów i poglądów, które właśnie opisałeś. Tak, niektóre diecezje stwierdzają: „dobrze, wolimy odpowiedzieć na te teologiczne pytania w świetle innych wartości hierarchicznych i to zrobimy. A jeśli oznacza to, że wówczas znajdziemy się w konflikcie lub opozycji to jest to w porządku, bo mamy swoje prawa”

To będzie ogromnie niebezpieczne i obawiam się, że albo już się to dzieje przez niedbałość albo celowo. Być może to nie ma znaczenia, ale

myślę, że należy albo się temu przeciwstawić, albo to zmienić. To znaczy wydaje mi się, że mogą istnieć sposoby, by to zmienić to tak, by przestało być naśladowaniem subsydiarności i demokracji trzeciej kategorii, tylko po to, aby spróbować ożywić świeckich. Ale aby to zrobić, biskupi musieliby zachować nadzór i jurysdykcję apostołską. Jak wiemy, jesteśmy już na etapie w życiu Kościoła, gdzie nie wszyscy biskupi mogą to zrobić w sposób, który jest zgodny z tradycją Kościoła.

PB: To, co powiedziałeś, jest dość ważne, ponieważ wchodząc do Kościoła katolickiego, zgodziłeś się na tę jednoczącą rolę papieża, który jest biskupem Rzymu i nauczycielem Kościoła wraz z innymi biskupami. I to jest jedną z bardziej charakterystycznych cech Kościoła. Istnieje nawet zwrot: „Rzym postanowił i sprawa zamknięta”. A teraz jeśli pamiętasz, kardynał Willem Jacobus Eijk z Utrechtu w Holandii skarżył się, że kiedy pytanie doktrynalne o interkomunię przyszło z Niemiec do Rzymu, to samo pytanie wróciło do Niemiec. Nie było nikogo, kto chciałby na nie odpowiedzieć. Czy widzisz ryzyko, że Kościół katolicki odchodząc od tej jednoczącej roli Rzymu, Kongregacji Nauki Wiary, i roli papieża, zastąpi ją zróżnicowanymi poglądami na całym świecie. Kościół w Niemczech będzie miał inne poglądy doktrynalne niż Kościół w Polsce, Stanach Zjednoczonych i innych miejscach.

GA: Oczywiście zdaję sobie sprawę z tego pęknięcia – teologicznych, eklesjalnych, politycznych i kulturowych napięć, jakie istnieją w tej chwili w Kościele katolickim. Byłbym nieuczciwy, mówiąc, pomimo tego, co powiedziałem wcześniej, że „oczywiście, że się tego spodziewałem” i że byłem w pełni przygotowany, by wkroczyć na to pole walki po stronie apostołskiej kultury i wnikliwości. Niemniej jednak realistycznie rzecz biorąc, widzę szkody, które są wyrządzane między tradycyjnymi społecznościami a tą progresywną perspektywą, która ma rosnący wpływ na hierarchię. Myślę, że wszystko będzie zależało od stopnia, w jakim progresywna agenda zostanie wdrożona i zrealizowana.

W tej chwili nie wydaje mi się, żebyśmy osiągnęli punkt, z którego nie ma już powrotu. Oczywiście, jak wiesz dobrze, mówię o potencjalnej schizmie i w pewnym stopniu ona już się pogłębia od rozłamu, który powstał po decyzji arcybiskupa Lefebvre’a i innych społeczności tradycjonalistycznych.

Ale nie doszliśmy jeszcze do punktu, z którego nie ma już powrotu, więc uchylę się nieco od odpowiedzi na to pytanie, jeśli nie masz nic przeciwko temu i powiem, że moja modlitwa i nadzieja, niepokój i tęsknota są takie:

choć wyrażnie znajdujemy się w okresie bardzo groźnych turbulencji, to nie jest to jeszcze najgorszy scenariusz.

ZP: Gavin, jak sądzę, jednym z celów synodalności jest doprowadzenie do jedności Kościołem niektórych odłączonych braci. Był czas, kiedy wydawało się, że anglikanizm zbliża się do katolicyzmu, ale potem oba zdawały się od siebie oddalać. Czy uważasz, że ścieżka synodalna stanowi szansę w tym względzie?

GA: Moja odpowiedź brzmi: Nie. Pozwól jednak mi to wyjaśnić. Moje „Nie” wynika z teologicznej refleksji, która wiąże się z tym pytaniem. Przez większość mojego życia byłem wybierany do wielu ciał ekumenicznych – zostałem wybrany do Rady na Rzecz Jedności Chrześcijan – centralnej w Kościele anglikańskim. Byłem też delegatem do Światowej Rady Kościołów. Mam zatem doświadczenie w zakresie tematyki ekumenicznej czy kultury ekumenicznej.

Jednak w tych sferach popełniono ten sam błąd, który popełnił Kościół anglikański na Synodzie Generalnym. Te sprawy były traktowane jak sprawy polityczne, jak wydarzenia polityczne z dynamiką polityczną. A więc były negocjacje, arbitraż, jedna strona daje trochę, druga strona daje trochę. Wiesz, jak to jest. Grupy, które nie miały ze sobą kontaktu, są delikatnie ku sobie popychane.

Całą tą kwestię postrzegałem jak wojnę na wyniszczenie teologiczne między wspólnotami, kompromisy między nimi dotyczące mocnych i słabych. To jednak nie uwzględnia w ogóle duchowych elementów w nawróceniu.

Myślę, że chciałbym tu użyć obrazu z Ewangelii św. Jana, w której człowiek zostaje dwukrotnie uzdrowiony przez naszego Pana. Jest on niewidomy, nasz Pan kładzie na niego ręce i przywraca mu wzrok. Jednak ten człowiek wciąż źle widzi. Widzi ludzi jako drzewa, które chodzą. Nasz Pan daje mu wtedy drugie uzdrowienie i po nim widzi wyraźnie.

Widzę w tym szczególnym zdarzeniu ewangelicznym model mojego własnego nawrócenia. Doświadczyłem ewangelicznego nawrócenia na chrześcijaństwo, wtedy nie widziałem jasno – nie widziałem Mszy św., nie widziałem Matki Bożej, nie widziałem świętych i nie widziałem Tradycji Apostolskiej, nie widziałem Stolicy Piotrowej i byłem jeszcze znacznie bardziej krótkowzroczny niż teraz.

Żadna ilość ekumenizmu czy synodalności, żadna ilość ekumenicznych póz czy negocjacji nie mogłaby uzdrowić tych kawałków, których brakowało

w moim rozumieniu Kościoła. To ich zrozumienie było częściowo cudowne. Były to dary oświecenia, które niewątpliwie pochodziły z obecności Ducha Świętego.

To jest właśnie to, co znaczy być chrześcijaninem. To życie w Duchu. Oczywiście musimy rozmawiać o kwestiach politycznych, socjologicznych, teologicznych i psychologicznych, ale musimy też być kompetentni duchowo. Życie duchowe jest sceną. Są rzeczy, które mogą wydarzyć się tylko duchowo.

I jestem przekonany, że jednym z powodów zdenerwowania wielu protestantów, gdy mowa o roli Matce Bożej jest, ujmując to w skrócie, jakiś odcień diabelski. Ich reakcje są tak irracjonalne. Dlaczego to mówię? Bo jeśli wszystko wydaje się w granicach normy, to dlaczego trzeba byłoby używać takiego języka? Jednak moment uzasadniający zadawanie tego rodzaju pytań pojawia się wtedy, gdy reakcje są irracjonalnie, przesadzone.

Coś musi się dziać. To prawdopodobnie będzie coś psychologicznego, co można zaobserwować. Powinniśmy od tego zacząć. Jednak zawsze zadziwia mnie poziom wściekłości, który samo nazwanie Matki Bożej wzbudza u niektórych ludzi. I nie mogę uciec od podejrzeń, że jest w tym demoniczny wpływ.

Myślę, że wszyscy jesteście zdolni do doświadczania demonicznego wpływu i nie sugeruję, że protestanci wyróżniają się jakoś szczególnie. Są katolickie demony, tak jak istnieją szczególne demony protestanckie i prawdopodobnie wszyscy znamy różnicę. Mimo to jest przed nami długa droga.

Próbuję wyjaśnić, dlaczego uważam, że proces ekumeniczny jest nieadekwatny w pewnym sensie tak, jak to opisałeś co do „produkcji” dobrych katolików. Aby zostać katolikiem, trzeba być na pewnym poziomie uzdrowienia ze ślepoty, uzdrowienia pamięci teologicznej, uzdrowienia pamięci historycznej. Łaska Ducha Świętego, która pozwala nam widzieć realny wymiar Mszy świętej, rzeczywistość Matki Bożej, rzeczywistość władzy papieskiej. To nie jest tylko kwestia zdrowego rozsądku i wspięcia się na pewien poziom intelektualny.

ZP: Jak bardzo uzdrowionym trzeba być, jeśli chodzi o pamięć historyczną? Jesteśmy edukowani i świadomi, jeśli chodzi o wielkich męczenników Reformacji w Anglii. Znamy cierpienia Johna Henry’ego Newmana, ale czy ludzie w UK wiedzą o tym również, zwłaszcza anglikanie?

GA: Myślę, że muszę powiedzieć, jak wcześniej w tak wielu sprawach, które omawiamy zawsze jest słabość i cnota. Ktoś może szukać słabości

w sytuacji, w której ja mogę szukać cnoty. I tak w tej konkretnej sytuacji, słabością jest to, że pamięć historyczna staje się z powodzeniem formą kultu przodków. Innymi słowy, jeśli jestem luteraninem, wciąż toczę bitwę, którą Luter toczył ze Zwinglim, tak jakby nadal żyli. I tak toczy się wiele dyskusji teologicznych i historycznych, jakby to była kwestia kultu przodków i kontynuowania walki tak, jakby jeszcze żyli.

Oczywiście to jest powszechne, ale to nie znaczy, że mówię tylko o grzechach luterzańskich w Anglii, można w tym przykładzie równie dobrze użyć anglikanów i katolików, anglikanów lub metodystów. Tak więc istnieje bardzo realne niebezpieczeństwo, że jako ludzie ukształtowani przez historię źle się nią zajmujemy jako chrześcijanie i pozwalamy wciągnąć się w ten antagonizm w imieniu przodków, których nigdy nie spotkalismy i nie znamy szczególnie dobrze.

Ale co jest cnotą? Myślę, że cnotą jest poczucie odpowiedzialności i przynależności. To oczywiście prawda, że zacząłem odkrywać cenę, jaką zapłacili ukrywający się księża katolicy pod rządami Elżbiety I. Byli wieszani, topieni i ćwiartowani. Było to męczeństwo w imię niesienia Mszy świętej wiernym katolikom. Zacząłem czuć się odpowiedzialny wobec nich i pragnąć nieść z nimi ten ciężar, tak jakby można nieść ból sprzed lat, nie w sposób masochistyczny, ale w sposób, który angażował pewien rodzaj kosmologicznej solidarności.

Jakkolwiek nie powinno się tego robić, to jeśli jest to robione z wierności i miłości, to wszystko jest w porządku. Ale nie wolno angażować się w pamięć historyczną w celu odtworzenia antagonizmów, bo to zmienia cnotę w wadę. Tak więc nie, nie sędzę, by wielu ludzi miało świadomość tych obopólnych prześladowań. I występuje to do tego stopnia, że są miasta, gdzie obchodzi się historyczne uroczystości, na których [symbolicznie] pali się papieża i uchodźców. Ale znowu są to ludzie, którzy tak naprawdę nie wiedzą, co robią. Po prostu głupio kopiują stare tradycje. Prawdą z protestanckiego punktu widzenia jest publikacja zwana *Księgą męczenników* Foxe'a. Protestanci z większą zręcznością ostrzegali swoje społeczności o prześladowaniach, które prowadziła wobec nich Maria Tudor. I tak, jest w tym pewna cnota, cnota znalezienie odwagi, by być wiernym Ewangeli i z miłości do Jezusa. Ale była też słabość, nie umieć dostrzec, że to byli chrześcijanie zabijający chrześcijan. Nic dobrego nie może wynikać z takich uroczystości. To są skomplikowane kwestie. Myślę, że dzięki miłości i modlitwie może nastąpić pewnego rodzaju uzdrowienie pamięci. Ja chciałbym, by Msza Requiem stała sposobem na to, ale nie sędzę, że można to zrobić

po prostu myśląc ładnie o przeszłości. Myślę, że to jest jeden z powodów, przez które zostałem katolikiem. Około 30 lat temu pojawiła się bardzo ciekawa książka, zatytułowana „Uzdrawianie drzewa genealogicznego”. Autorem jest chiński misjonarz protestancki, który stanął w obliczu bardzo poważnej zawieruchy duszpasterskiej wśród swojej trzody, gdy niósł im Ewangelię. Dopiero gdy zaczął skutecznie modlić się o uzdrowienie i uwolnienie przodków w kontekście celebracji eucharystycznej, dopiero wtedy pojawiły się postępy duszpasterskie, psychologiczne i duchowe. Oczywiście to, co on zrobił, to odkrycie Mszy Requiem. Pamiętam, że przeczytałem tę książkę około 1985 roku i był to jeden z tych małych, ale ważnych elementów doświadczenia, które ostatecznie inspirowały mnie w mojej podróży.

ZP: Jak anglikanie traktują cię teraz, gdy przeszedłeś na katolicyzm? Czy jest jakaś otwartość na pojednanie, odśpiewanie Mszy Requiem, wspólną modlitwę i pozwolenie, by przeszłość odeszła?

GA: Przypuszczam, że to bardzo ważne pytanie. Są prawdopodobnie trzy kategorie ludzi. Ludzie, którzy mówią: „Cóż, nie obchodzi nas, czy ten głupi dr Ashenden chce dodać jeszcze jeden ekscentryzm do ekscentryzmów, które wyróżniają jego życie. Niech to zrobi, jeśli to mu się to podoba. Kim my jesteśmy, żeby to nas obchodziło?”.

Druga grupa to ludzie bardzo rozgniewani, to znaczy naprawdę rozgniewani. Pewnego dnia słuchałem audycji, podcastu pary amerykańskich teologów anglikańskich, którzy powiedzieli: „Jeśli chodzi o upadek reputacji, nie widzieliśmy jeszcze takiego upadku od czasu, gdy Gavin Ashenden został katolikiem”.

Jest jeszcze trzecia grupa. Ci, którzy znajdują się duchowo w dokładnie w tym samym miejscu, w którym ja byłem. Jedną z rzeczy, które w żadnym wypadku nie zajęły mi dużo czasu, ale z pewnością zajęły znaczną część mojego serca. Było kilkudziesięciu księży, którzy napisali do mnie prywatnie mówiąc, że są skłonni wyruszyć w tę samą podróż. „Jestem w punkcie x w tej podróży, wiesz?”. W tej podróży bardzo często problem dotyczy współmałżonka, który nie potrafi jej podjąć z nami. To zdarza się bardzo często. W mojej historii to ja byłem tym współmałżonkiem, i muszę przyznać, że to moja żona zdecydowała się zostać katoliczką kilka lat temu, a ja jej tego nie ułatwiałem.

Cóż, znowu użyję tego słowa, było coś demonicznego w mojej reakcji w stosunku do niej, mimo że byłem nadal logicznie, psychologicznie

i duchowo głęboko współczujący. Niemniej jednak było w tym coś ekstra, co sprawiało, że zachowywałem się bardzo źle i nieracjonalnie wobec niej. I oboje to dostrzegaliśmy. Ona powiedziała: „Jesteś wredny i znęcasz się nade mną, dlaczego to robisz?”. „Jestem wredny? Jestem wściekły” – odpowiedziałem i oczywiście usprawiedliwiałem to. Powiedziałam, że to jest małżeństwo, a w małżeństwie musimy iść razem. Jesteśmy ze sobą związani tak samo, jak jesteśmy związani z Kościołem i w małżeństwie musimy iść w tym samym tempie. Nie były to rzeczy nieprawdziwe, ale ukrywałem fakt, że byłem irracjonalnie antagonistyczny i racjonalizowałem to. Teraz inni ludzie przychodzą do mnie i mówią: „Wiesz, mój mąż jest irracjonalnie wzburzony”. Odpowiadam im, że rozumiem to. Jest w tym element walki duchowej.

Tak więc mamy te trzy grupy: tych którzy się nie przejmują, tych którzy są bardzo źli i tych, którzy próbują iść tą samą drogą. Jestem wdzięczny za każdą pomoc teologiczną, pastoralną, modlitewną, za rady i towarzyszenie mi.

PB: Gavin, publikujesz i dużo mówisz o obecnej kulturze, tzw. *cancel culture*, także w kontekście Covid-19. Chciałbym poruszyć kwestię Twojego rozumienia obecnej kultury i wyzwań, przed którymi stoimy jako chrześcijanie. Jakie są trzy główne zagrożenia, czy mówiąc inaczej niebezpieczeństwa dla katolików, związane z wyznawaniem wiary w dzisiejszych czasach i co Kościół może zrobić, by nam pomóc? Mówię tu o ludziach świeckich, ale także o duchownych.

GA: Zacznę od tego, że w latach osiemdziesiątych przemyślałem Biblię i książki teologiczne do Związku Radzieckiego i do Czechosłowacji. Pewna część Kościoła katolickiego w Czechach rozwijała się w podziemiu, ponieważ władze za „żelazną kurtyną” zabroniły udzielania święceń. Uważały one, że w ten sposób zniszczą Kościół katolicki w ciągu jednego pokolenia. Nie ma księży, nie ma Mszy; nie ma Mszy, nie ma Kościoła – to jest bardzo proste. Udało się tego uniknąć dzięki podziemnemu Kościołowi. Ludzie byli szkoleni w tajemnicy i wyświęceni w tajemnicy, ale nie mieli dostępu do żadnych księżek. Ludzie tacy jak ja działali jako kurierzy i dostarczali książki do podziemnych seminariów. W latach osiemdziesiątych spędziłem trochę czasu w Związku Radzieckim. I choć wtedy o tym jeszcze nie wiedziałem, to dało mi – jak przypuszczam – pewne wyczucie. Wiesz, to nie był dla mnie tylko fakt. Dotyczyło to totalitarnego państwa, które działało w określony sposób. Jest to ważne, bo moją drugą referencją, że tak powiem, jest praca przez 25 lat na najbardziej postępowym uniwersytecie w naszym kraju. Było

to miejsce stanowiące centrum homoseksualistów na Wyspach Brytyjskich i była to najbardziej aktywna, radykalno-lewicowa uczelnia w kraju. Jedną z rzeczy, której doświadczasz, gdy jesteś na takim uniwersytecie jest to, że masz poczucie tamtejszej kultury, która zazwyczaj wyprzedza o 5, 10 lub 15 lat to, co dzieje się w normalnym społeczeństwie.

Zacząłem tam pracować pod koniec lat osiemdziesiątych i dostrzegać, co się dzieje na uniwersytecie, na którym pracowałem. Mogłem zobaczyć sposób, w jaki postępową kulturą rozwijała się i stawała się coraz większym zagrożeniem dla wolności słowa i potencjalnie bardzo groźna dla chrześcijan. I byłem tym zaskoczony.

I potem koło 2002–2003 roku poczułem [tam] zapach czy smak Związku Radzieckiego. Niezwykle trudno to wyjaśnić, to był rodzaj intuicji. Można to nazwać najlepszą intuicją i najgorszym mistycyzmem, to było jak smak rdzy w głębi ust. Zatrzymałem się i pomyślałem: „Mój Boże, czy to jest Związek Radziecki? Skąd pochodzi ta percepcja? Czy jestem szalony? Czy moje «neurony połączyły się?»”. Usiadłem, zacząłem czytać i właśnie wtedy odkryłem Szkołę Frankfurcką. Zacząłem o niej czytać i zacząłem dostrzegać, że jedną z rzeczy, które się działy, była nowa forma neoutopizmu w ujęciu marksistowskim. Ludzie spierają się o to, czy można w tej dyskusji mówić o Marksie, bo on zasadniczo zajmował się ekonomią i proletariatem. Odkładając tą dyskusję na bok, z tych właśnie powodów stałem się nieco czujniejszy niż wielu innych ludzi, jeśli chodzi o nadchodzące wojny kulturowe.

W 2012 roku zdecydowałem, że muszę zrezygnować z pracy naukowca, ponieważ byłem pewien, że w przeciwnym razie zostanę zwolniony. Stawałem się coraz bardziej tradycyjny, coraz bardziej katolicki i coraz bardziej świadomy walki. Wiedziałem, że jest to walka, której nie jestem w stanie wygrać. W tym czasie wszystkie rzeczy, przed którymi ostrzegałem, nad którymi się zastanawiałem, o których rozmawiałem z przyjaciółmi i na forum publicznym pojawiły się, by potem przejść w bardziej ostre stadium, niż nawet ja mógłbym wtedy przypuszczać.

Nawiązując do pytania – czego możemy się z tego nauczyć jako Kościół katolicki? Myślę, że jedną z rzeczy, o których musimy otwarcie mówić to, że toczymy walkę na śmierć i życie. Bardzo możliwe, że staniemy się znowu męczennikami. Jeśli spojrzymy na to, co marksizm 1.0 zrobił, jeśli chodzi o rewolucję rosyjską i w Chinach, wiemy, że zarówno politycznie, jak i duchowo pierwszym celem był Kościół.

Wiemy, co zrobił Stalin z księżmi i zakonnikami oraz kościołami. Księży i zakonników zabił, a kościoły zburzył. Coś bardzo podobnego wydarzyło się

w Chinach. Choć wiemy, że były wyjątkowo wspaniałe odrodzenia zarówno w Kościele katolickim w Chinach, jak i w Kościele prawosławnym w Rosji.

Tak więc myślę, że pierwszą rzeczą, którą należy powiedzieć, jest to, że to bardzo poważny stan rzeczy. To nie jest tylko kwestia niewielkiej zmiany kultury, poprawności politycznej i nie jest kwestią ludzi prawicowych czy lewicowych, preferencji politycznych czy teologicznych. Jest to w pełni rozwinięty duchowy atak na integralność i samo istnienie Kościoła. Taki sam jak w pierwszej części XX wieku.

Tylko dzięki uświadomieniu sobie powagi sytuacji, w której się znajdujemy, możemy zaangażować się z odpowiednią ilością energii i odwagi, by zacząć radzić sobie z niektórymi z tych rzeczy, o których mówiliśmy na początku. Problemami dotyczącymi seksualności, małżeństwa i rodziny. Kwestią płci kulturowej (gender) i tożsamości osobistej, a tożsamości wspólnotowej. Kwestia wolności słowa, umożliwienia Kościołowi dawania swobodnego świadectwa w przestrzeni publicznej.

Ogromnie ważną kwestią jest sposób, w jaki aborcja stanowi formę ofiary dla diabła, w postaci ofiary krwi o najbardziej przerażającej skali. Mam wiele zrozumienia dla tych, którzy twierdzą, że jednym z powodów, dla których znajdujemy się w niewyobrażalnie problematycznym miejscu pod względem duchowym, są miliony aborcji naszych dzieci, które mają kosmologicznie złowrogi efekt. W jakiś sposób wzmocniły siłę zła tak, że dziedzictwo Chrystusowe, spoiwo, które trzyma wszystko razem – nasze osobiste i wspólnotowe zdrowie psychiczne, które jest karmione świętością świętych, kruszeje szybciej niż jakikolwiek lodowiec może się stopić pod wpływem globalnego ocieplenia.

Myślę, że mój wniosek z tego wszystkiego jest taki, że jesteśmy w bardzo poważnym momencie dla historii Kościoła i nie wolno nam tego mylić z idiosynkratycznymi osobistymi preferencjami. To w czym się znajdujemy to kosmologiczna walka, na skalę Księgi Apokalipsy.

ZP: Wspomniałeś, że będąc częścią kadry uniwersyteckiej, przewidziałeś, co się będzie działo w najbliższych latach. Czy obecnie dalej masz ten wgląd? Czy możesz powiedzieć, dokąd zmierzamy w Europie i w Ameryce? Czy wiesz, co się stanie z naszą kulturą? Dokąd zmierzamy jako cywilizacja?

GA: Domyślam się, że o to chodzi. Odpowiedź brzmi: widziałem tak daleko, jak mogłem widzieć. To co widziałem, co miało być w 2002–2005 to się spełniło, ale nie mogę powiedzieć, że wiem coś, poza tym. Znałem

mapę, tak można to ująć, a teraz nie jestem z nią zaznajomiony i nie mogę stwierdzić nic pewnego, ale obawiam się, że może dojść do wojny domowej w Ameryce.

Bardzo trudno sobie wyobrazić, by Amerykanie mogli znaleźć jakąkolwiek syntezę między tezami i antytezami politycznymi, z którymi mają do czynienia. Wydają się niezdolni do syntezy i w tym przypadku może dojść do secesji z prawej strony, aby podnieść most zwodzony. To znaczy, że jeśli nie podniesiesz mostu zwodzonego, lewica się nie zatrzyma. I jedną z rzeczy, które powinniśmy zauważyć w Europie jest to, że lewa strona nie zatrzyma się. Już wkroczyła na górne szczeble wszystkich rządów, wszystkich korporacji, całej edukacji i policji. Już nie ma miejsca, którego lewica nie zdobyła, z pewnością nie w Wielkiej Brytanii i Ameryce i myślę, że być może w Europie.

Nie wiem, co się stanie w Europie, ale myślę, że sytuacja jest zbyt zagmatwana. Byłem bardzo zaniepokojony duchowo, gdy odkryłem, że Giscard d'Estaing chce usunąć wszelkie odniesienia do chrześcijaństwa z planowanej konstytucji UE. W rzeczywistości nigdy do tego nie doszło, ale mieli taki zamiar, chcieli doprowadzić do tego. To było jasnym odzwierciedleniem wartości i intencji europejskich elit, które kierowały Unią Europejską.

Bardzo interesujące jest to, co się dzieje w Polsce. Jak rozumiem, Polska nie wygrywa tej walki. A przynajmniej jesteście w niepewnej sytuacji – wygranej lub przegranej, jeśli mam rację. I kto by pomyślał, że Węgry okażą się tak energicznym krajem broniącym chrześcijaństwa.

Nie mogę przewidzieć, co się stanie w Europie, ale to jasne, że jeśli ma być jakąkolwiek nadzieja dla Europy czy Stanów, musi ona nadejść ze strony odmłodzonego Kościoła, ponieważ, jak już mówiłem, to nie jest przede wszystkim kwestia polityczna, ale walka duchowa. To walka z chrześcijaństwem, z dziedzictwem Chrystusowym, walka z Jezusem i Kościołem apostołskim i dlatego może być wygrana tylko przez Jezusa i Kościół apostołski. I chociaż musimy być świadomi, musimy nosić w sobie pewien poziom politycznego, socjologicznego, historycznego wyrafinowania i musimy być poinformowani. Ale nie ma sensu być poinformowanym, jeśli nie połączymy tego z pewną płaszczyzną duchowego wglądu, z darem rozeznania, abyśmy wiedzieli, co robimy. To będzie wymagało, byśmy wiedzieli, czego wymaga się od Kościoła: dobrego świadectwa, cierpienia, wierności, odwagi, a być może męczeństwa. Tego czego zawsze wymagano od Kościoła, kiedy ta wściekła, antychrześcijańska siła została skierowana przeciwko niemu; myślę na przykład o rewolucji francuskiej czy rewolucji z 1917 w Moskwie i w innych częściach świata, gdzie chrześcijańscy misjonarze napotkali energiczną

i gwałtowną opozycję. Chrześcijaństwo nie poddało się. Jesteśmy znów na tym polu bitwy.

PB: W czasie nadchodzących wyzwań dla chrześcijan powinniśmy szukać sojuszników między ewangelikalnymi protestantami, tradycyjnymi protestantami? Czy może jest tak, że na wiele Kościołów protestanckich, które zaakceptowały świecką agendę nie możemy liczyć, że będą naszymi sprzymierzeńcami? Z drugiej strony widzimy Kościół, który pozwala na wkroczenie do niego feminizmu, LBGT. Jak podejść do tej sytuacji?

GA: Naprawdę zadajesz najtrudniejsze pytania. To by było bardzo interesując zobaczyć, jak szybko ewangelicy i liberalni protestanci ustąpili. Nie chcę tu być niegrzeczny czy wyniosły. Powodem tego było to po prostu, że bez długiej Tradycji chrześcijańskiej, Biblia sama w sobie nie pomoże z wystarczającą jasnością obronić Kościoła w sytuacji, w jakiej się znajduje i o której tu mówimy.

Oczywiście Biblia jest absolutnie niezbędna, ale musi być interpretowana tak, jak była interpretowana przez umysły katolickie na przestrzeni wieków. Cóż, kwestia, do której nawiązujesz przychodzi na myśl mojego szczególnie czujnego świeckiego kolegę – podróżnika. Jest jednak wielu inteligentnych ateistów, którzy potrafią dostrzec z pewnym stopniem intelektualnego rygору i jasności, co się dzieje. I w Wielkiej Brytanii jest kilku takich, którzy piszą z zapałem o szaleństwie i niesprawiedliwości, które lewica wprowadza do naszego społeczeństwa. Ale tak naprawdę kluczowym pytaniem jest islam.

Głowiłem się tym przez jakiś czas. I jeśli mogę wrócić do pojęcia wady i cnoty, użyjmy ich w stosunku do islamu. Co jest słabością islamu? To, że istnieje w nim głębokie uczucie wrogości wobec chrześcijan, które prowadzi do najstraszliwszego prześladowania chrześcijan. Mówiłem o tym już w ramach wtrącenia, jedną ze ścieżek jakie wykorzystwała postępową lewica było zaproszenie nas do przyjrzenia się współistnieniu (*Convivencia*) w Hiszpanii islamu i innych religii – jako czasu szczęśliwej integracji i ekumenicznego rozkwitu.

Jest bardzo ciekawa książka pt. *Mit o andaluzyjskim raju*, wydana około pięć lat temu. Każdy rozdział zaczyna się dwoma stronami rozpraw naukowców z Yale, Harvardu, uczelni Ivy League, Oxfordu, Cambridge i Sorbony, wychwalających to współistnienie. Autor wyjaśnia, jak naukowcy Ci zostali przekupieni pieniędzmi z Arabii Saudyjskiej, by zmieniać prawdę. Potem sam wyjaśnia prawdę historyczną, która była przerażająca.

Jedynym powodem, dla którego to mówię, jest to, że musimy wiedzieć. Jednym z powodów, dla których wozilem książki z historii teologii do Związku Radzieckiego i Czechosłowacji. Musimy mieć prawo wiedzieć. Musimy znać fakty dotyczące historii albo ludzie będą nam mydlić oczy. Tak więc islam rośnie w siłę i hegemonię i jest bardziej odporny na postępowy świecki utopizm, na który chrześcijaństwo okazało się podatne.

Cnotą islamu jest to, że w islamie są pewni głęboko pobożni i mają dobre intencje wyznawcy jednego Boga. Myślę, że wszyscy nasi słuchacze zapewne wiedzą, że islam dzieli Koran na dwie części – na Mekkę i Medynę. Sury napisane w Mekce to wartościowe dla ludzi księgi o hojności, a sury spisane w Medynie są brutalne i bezwzględne. Tak więc muzułmanie mają wybór, które z tych sur chcą zastosować w swoich relacjach międzywyznaniowych.

Kiedy są wkurzeni czy źli, powołują się na te brutalne z Medyny, a kiedy są bardziej hojni, używają tych bardziej ironicznych z Mekki. Problem z islamem polega zatem na tym, że jest on zarówno teologiczny, jak i polityczny. Kiedy chcesz, żeby był polityczny, to staje się konfrontacyjnie teologiczny. W miejscu, w którym chcesz, żeby to było teologiczne, staje się konfrontacyjnie polityczny. Rzadko się zdarza, by to się pokrywało tam, gdzie to potrzebne. Jednak „wróg mojego wroga jest moim przyjacielem”.

Jeśli chodzi o alkoholizm, pornografię, prostytutkę i aborcję, muzułmanie są naszymi sprzymierzeńcami i sojusznikami i powinniśmy ich traktować jako takich. Problem polega na tym, że nie możemy polegać na stałości sojuszu z powodu dwoistej natury islamu, tego czym naprawdę jest islam. To jest to bardzo problematyczne pytanie, z którym zmagam się cały czas.

ZP: A czy masz pojęcie, jak powinni postępować chrześcijanie? Powinniśmy iść za *Opcją Benedykta* i izolować się w małych grupach, czy powinniśmy wyjść do społeczeństwa i próbować głosić Ewangelię i nawracać, ryzykując męczeństwo? Szczególnie jeśli niektórzy z naszych muzułmańskich przyjaciół zamierzają wprowadzić w życie teorię abrogacji, która mówi, że późniejsze sury anulują wcześniejsze.

GA: Są trzy postawy. Pierwszą jest dalsza walka, wojna polityczna i tam wpasowuje się Rod Dreher, który opisał *Opcję Benedykta*, do której nawiązałeś. Rozmawialiśmy z Rodem i chociaż ludzie lubią krytykować jego i jego książkę, tak jakby zyskiwali prestiż dzięki temu, że to robią, to jednak główna teza jego książki, że bitwa polityczna jest przegrana i to przegrana ostatecznie, jest trafna.

Wielu osobom jest to trudno przyjąć. Moim zdaniem ma on całkowitą rację. Zatem jeśli politycznie sprawa jest przegrana, to co robić?

Reszta książki *Opcja Benedykta* mówi o tym, żeby się nie wychylać i zachować jak najwięcej prywatnej autonomii społecznej, tak jak tylko to możliwe. Myślę, że jest to kwestia zdrowego rozsądku. On odsyła nas z powrotem do oryginalnej siły, która przekształciła Europę. Była nią działalność wspólnoty chrześcijańskiej, a przede wszystkim wspólnot monastycznych żyjących w celibacie. Więc to, czego nie robimy, to nie wyobrażamy sobie, że możemy odzyskać przewagę, walcząc na polu debaty politycznej, której już nie ma.

Jak już mówiłem wcześniej, wszystkie główne agencje i urzędy zostały przejęte przez progresywną ideologię. Myślę i to mówię moim dzieciom: nie staraj się o męczeństwo, ogranicz swoją aktywność w Internecie. Nie umieszczaj w e-mailach ani w mediach społecznościowych rzeczy, które każdy może wykorzystać, by cię później prześladować i nie wszczynaj niepotrzebnie boju.

To oni sprowadzą tę walkę na nas. To oznacza, że przyjdzie taki moment, myślę dla wszystkich z nas, kiedy będziemy musieli wybrać, jaki poziom męczeństwa zdecydujemy się ofiarować naszemu Panu. Może wielu ludzi uniknie go, ponieważ tak się działo.

Myślę, że jest jedna odpowiedź i brzmi ona: zachować wiarę w tak dużym stopniu, jak się da. Trzeba zachować nienaruszoną Mszę, trzeba utrzymywać Kościół w stanie nienaruszonym. I może trzeba będzie to robić ponownie w ukryciu. Gdy chodziło o przepisy dotyczące Covid, zdesperowany chciałem, by biskupi utrzymali kościoły otwarte lub jeśli to niemożliwe, żeby dawali prywatne pozwolenia kapłanom, by mogli sprawować ofiarę mszy świętej prywatnie, w kościelnych katakumbach.

Może tak było, a my nie słyszeliśmy o tym i nie szkodzi. Ale byłem bardzo zaniepokojony liczbą biskupów, którzy byli skłonni zamykać drzwi kościołów. Anglikanie zamknęli drzwi natychmiast, zrezygnowali z publicznej modlitwy i Eucharystii od razu. To był straszny wstyd. Kościół katolicki zachwiał się w tym kraju i nie udało się za pierwszym razem, ale za drugim razem biskupi wymyślili lepsze rozwiązania.

Myślę, że ważne są te trzy rzeczy: „Nie walcz. Nie marnuj energii politycznej. Nie pozwól, by cię zabili zbyt wcześnie, wybierz moment, w którym dasz swoje najgłębsze świadectwo”.

PB: Gavin, jesteś bardzo uważnym obserwatorem ludzi, którzy mogą być naszymi sojusznikami, którzy również wypowiadają się na temat tego

szczególnego kulturowego zamieszania. Wiem, że brałeś udział w specjalnym spotkaniu na uniwersytecie w Cambridge z Jordanem Petersonem. Powiedz mi, proszę, dlaczego tak trudno jest ludziom z takim intelektem jak Jordan Peterson przyjąć chrześcijaństwo i przyłączyć się do Kościoła? Miałeś kilka ciekawych spostrzeżeń na ten temat w swoim programie. Czy mógłbyś podzielić się niektórymi z nich?

GA: Tak, cóż, zawsze czułem sympatię do Jordana Petersona, odkąd pojawił się na scenie, ponieważ podczas moich lat uniwersyteckich, to do czego wcześniej Wam się nie przyznałem, w pewnym stopniu stałem się apostatą. W tym sensie, że główną motywacją dla mnie była teoria Zygmunta Freuda. Zdobyłem dość dobre kwalifikacje jako psycholog religii. Wtedy wydawało mi się, że poglądy Carla Gustava Junga można by wykorzystać, mówiąc o kulcie przodków i to mogłoby odświeżyć konflikt między Freudem a Jungiem, tak aby rzucić wyzwanie współczesnym uczniom Freuda wśród moich akademickich kolegów

To zadziało bardzo skutecznie. Jednak zadziało tak dobrze, że stałem się bardziej wyznawcą Junga niż chrześcijaninem. Może inaczej, pozostałem chrześcijaninem, ale moje chrześcijaństwo zamknęło się w wielkim, zbyt wielkim oddaniu Jungowi. Mówię to dlatego, że Jordan Peterson jest zwolennikiem Junga. Jedną z najlepszych rzeczy jakie daje Jung nam chrześcijanom, jest to, że potwierdził psychologicznie wiele z chrześcijańskich archetypów i terminów chrześcijańskich.

Ale zostało to zrobione w sposób pasożytniczy i agnostyczny. A ja wciążnąłem się w to i wylądowałem zbyt blisko oryginalnego jungizmu. I było paradoksem w pewnym sensie, że moje przebudzenie z tego dokonało się przez demoniczną opresję. Bo mówiąc precyzyjnie kwestia cienia u Junga i chrześcijańskie rozumienie osobowej natury zła stanowi punkt rozdzielenia jungizmu i chrześcijaństwa.

Postanowiłem, że porozmawiam o tym z Jordanem Petersonem. Tak się cudowanie złożyło, że dostałem miejsce obok niego na obiedzie. Rozmawialiśmy długo i powróciliśmy do pytania o cuda. Możesz zostać chrześcijaninem, tylko jeśli Duch Święty dokona cudu w Tobie. Tak samo jak nasz Pan powiedział do Nikodema, że musi się narodzić na nowo, mocą z wysoka. Trzeba, aby „dynamit” Ducha Świętego odpalił w Twojej głowie i sercu, aby zmienić sposób patrzenia na świat i na siebie. Jordanowi Petersonowi to się nie przytrafiło. Dobra wiadomość jest taka, że jego żona została lub zostanie katoliczką. Doświadczyła cudownego uzdrowienia z raka, gdy modliły

się z nią katolickie kobiety, które nauczyły ją różańca. Jego córka przeszła „nowe narodziny” jako ewangelikalna protestantka i w ciągu ostatnich sześciu miesięcy głośno mówiła o cudzie spotkania z Bogiem.

Tak więc dwie najważniejsze osoby w życiu Jordana Petersona popychają go w tym kierunku i zrobią to, czego ja nie byłem w stanie zrobić, czyli roztopią jego serce miłością Ducha Świętego. Choć mam nadzieję, że rozmowy, które razem prowadziliśmy – rozmowy z kimś, kto dopiero przychodzi do Chrystusa, są często ratunkiem, zmiękczeniem stwardniałych tętnic.

Ale jest pytanie, którego nie zadałeś, a które mógłbyś zadać: Czy jeśli jestem tak pesymistycznie nastawiony do walki, przed którą stoi Kościół, to ktoś taki jak Jordan Peterson może wygłaszać wykłady o Biblii i wypełniać sale samotnymi, młodymi ludźmi, mężczyznami pełnymi tęsknoty, by mogli zakosztować prawdy biblijnej. Jak to możliwe, że Jordan Peterson jako psycholog-agnostyk jest w stanie być największym nauczycielem Biblii w tej chwili na świecie pod względem liczby ludzi, do których dociera. Jest to bardzo interesujące i oczywiście nie znam odpowiedzi. Ale obserwuję to zjawisko i to, co zaobserwowałem to fakt, że jeśli przedstawia się ludziom rzeczywistość biblijną w takiej formie i w taki sposób, że mogą ją zaakceptować i rozpoznać, to pojawia się człowiek stworzony na obraz Boga (*imago Dei*). Ludzie są zgłodniali tego i chłoną to.

Powinniśmy zwrócić uwagę na fakt, że Jordan Peterson stał się naszym najskuteczniejszym ewangelizatorem, prowadząc coś w rodzaju przedchrześcijańskiej rozgrzewki. Trzeba zapytać, co w nim jest takiego, co on robi, czego kapłani i członkowie wspólnoty chrześcijańskiej nie byli w stanie zrobić.

Myślę, że jedną z odpowiedzi jest to, że zostaliśmy zdemoralizowani przez niemieckie „historyczno-krytyczne” podejście do Biblii i nie odzyskaliśmy jeszcze naszego zaufania w autentyczność Pisma Świętego. Sposób, jaki Peterson znalazł na ten brak zaufania to psychologiczna pewność dotycząca paradygmatów biblijnych. Myślę, że Kościół jeszcze musi odzyskać swoje teologiczne i duchowe zaufanie do paradygmatów biblijnych.

ZP: Czy zgodziłbyś się ze stwierdzeniem, że Jordan Peterson mówi o Biblii w języku, który nie jest językiem religijnym, więc mówi do niewierzących w języku, który nie jest językiem Kościoła i ludzi wierzących? Mówi jak psycholog i dlatego dociera do nich?

GA: Myślę, że nie ująłbym tego w ten sposób. Spróbuję to ująć inaczej. Myślę, że jest to trochę bliższe temu, co się naprawdę dzieje. My jako katolicy

wiemy, że istnieje wiele sposobów podejścia do Pisma Świętego. Historycznie są cztery metody wyjaśniania, co się dzieje w Biblii. Peterson znalazł piątą, współczesną, którą określiłbym mianem egzystencjalnej autentyczności. Tak więc On patrzy na narrację biblijną, zaczynając od Księgi Rodzaju bez żadnych roszczeń dotyczących historyczności czy rzeczy nadprzyrodzonych.

Po prostu mówi: „niezwykle trafnie przekazuje nam prawdę o człowieku, jego naturze i zadaniach, o dojrzewaniu i walce między różnymi częściami naszego ja”. Jako terapeuta dociera do takiego poziomu prawdy i autentyczności zawartych w Biblii, z którą tylko psycholog z takim jak on poziomem umiejętności mógłby sobie poradzić. Żyjemy w czasach i w kulturze, do których pasują dwa określenia: wysoce zseksualizowana i w dużym stopniu stereotypizowana. To, co zrobił Jordan Peterson, to słusznie skorzystał z tego faktu, że jesteśmy kulturowo na terapii i mówimy językiem terapeutycznym i odsłonił terapeutyczny kod, który prowadzi na poziom egzystencjalnej autentyczności, o której mówił Jung i którą nazywał indywidualizacją.

Peterson zajmuje się Biblią w sposób, który działa, bo porusza się przed punktem, w którym następuje rozejście się chrześcijan i jungistów. Czy Jezus jest zbawcą stanowiącym archetyp, czy jest on archetypem, który naprawdę jest zbawicielem? To jest punkt, w którym nasze drogi się rozchodzą. Peterson powstrzymuje się od tego, ponieważ doskonale wie, że w momencie, gdy przekroczy tę granicę, ten rubikon, podzieli swoją publiczność. Tak więc myślę, że jedną z rzeczy, które do tej pory z tego wyniosłem (przepraszam, jeśli jest to za mało dopracowane, ale nie myślałem o tym tak dużo, jakbym chciał), wnosi on pewien poziom zaangażowania i pewności siebie w egzystencjalny autorytet Pisma Świętego. Przede wszystkim powinniśmy naśladować i zapożyczać i uznać, że to jest prawdopodobnie język, który ludzie słyszą najczęściej i łatwo się w nim odnajdują.

Język stawania się, dojrzewania, samorozwoju. Oczywiście do pewnego momentu, ponieważ po pewnym czasie wpada się w pułapkę bałwochwalstwa, w którą wpada Jung. Tego przykładem jest jaźń, która staje się bogiem. Bóg dla Junga jest przez małe „b» i jest nim jaźń, jest nim ego. W skrócie podejście Junga i Petersona jest naszym sprzymierzeńcem

ZP: Ostatnie pytanie z mojej strony. Wiesz, kiedy chrześcijaństwo najbardziej się rozprzestrzeniło, zaczęło się od plagi antonińskiej w II w., kiedy chrześcijanie zareagowali na śmiertelną chorobę, jaką była oспа, w sposób, który bardzo różnił się od wszystkich innych – nie rozpaczali, nie bali się, grzebali zmarłych i opiekowali się chorymi. Czy my i nasze Kościoły na całym

świecie, Kościoły chrześcijańskie sprostają wyzwaniu pandemii Covid-19? Zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że jak wspomniałeś, wiele z tego to może być walka duchowa.

GA: Nie, oczywiście nie udało się nam i to naprawdę dość przygnębiające. Pierwszą rzeczą, którą Kościół powinien był zrobić, to powiedzieć naszym obywatelom i sąsiadom: „śmierć to rzeczywistość”.

Całe społeczeństwo konsumpcjonistyczne stara się udawać, że śmierci nie ma, ale ona jest. A my wiemy, jak sobie z nią radzić. Nie boimy się jej i wiemy, co nas czeka po drugiej stronie. Więc spróbujemy zachęcać i wyjaśnić, dlaczego wiemy, dlaczego się jej nie boimy.

Myślę, że gdybyśmy wykazali się tego typu odwagą, którą powinna wypełniać nas nasza wiara, to ludzie byłiby tak samo zaskoczeni, jak w drugim wieku i powiedzieliby: „Mój Boże, albo ci chrześcijanie są szaleni i łudzą się, albo chciałbym być chrześcijaninem”. Jedno albo drugie.

Jeśli to pierwsze, nie są w gorszej sytuacji, a jeśli to drugie, to tak wiele można by osiągnąć. Oczywiście społeczeństwo świeckie zastawiło pułapkę na nas, mówiąc, że utrzymując otwarte Kościoły i angażując się razem, nie kochamy naszych bliźnich. To przez sposób, w jaki informacje o wirusie zostały przedstawione w przestrzeni publicznej, gdzie nie powiedziano zbyt wiele prawdy. Jest w tym pułapka, a chrześcijanie muszą być ostrożni. Nie możemy pozwolić sobie na wpadnięcie w tę pułapkę i powiedzieć, że nas to nie obchodzi, bo jesteśmy tacy odważni, bo to przyniosłoby odwrotny skutek. Ludzie obróciliby się przeciwko nam i to jest złe, chociaż była taka pokusa.

Ale tak, uważam, że pytania, jakie przed nami postawił Covid musimy zadać sobie jako społeczeństwo. I są one zasadniczo dla nas korzystne, ponieważ mamy na nie odpowiedzi i powinniśmy znaleźć sposób, by występować w przestrzeni publicznej i wypowiadać się jako Kościół. To pozwoliłoby naszym sąsiadom i naszym przyjaciołom spojrzeć na nas, na siebie, na śmierć i chorobę z innej perspektywy. To się nie wydarzyło.

Czy to się jeszcze może zdarzyć? Cóż, tak, może się zdarzyć. Miejmy nadzieję, że jesteśmy już na dobrej drodze. Covid będzie już z nami zawsze. Ale odpowiedź na Twoje pytanie jest taka, że zawiedli nas nasi biskupi i niektórzy księża. Chociaż byli też bardzo odważni księża i biskupi, którzy dawali bardzo skuteczne świadectwo.

PB: Dziękuję bardzo. To bardzo wspierało moje z twojej strony, Gavin, że podzieliłeś się z nami myślami, obserwacjami i świadectwem swojej podróży

duchowej. Chciałbym podziękować bardzo serdecznie za dołączenie do nas na tym spotkaniu i podzielenie się swoją podróżą duchową, obserwacjami na temat społeczeństwa, synodalności i naszej kultury. Dziękuję za Twoją posługę online, poprzez stronę internetową i cotygodniowe kazania.

ZP: Jeśli mogę jeszcze dodać, dziękuję za twoją mądrość, twoje doświadczenie i pokorę.

GA: Dziękuję Wam, za Waszą przyjaźń. Chcę podziękować również jako syn marnotrawny, który powrócił do Kościoła. Dziękuję za to, że staracie się, by Kościół żył i miał się dobrze, tak bym mógł do niego wrócić.

PB: Dziękuję bardzo i mam nadzieję, że zobaczymy się kiedyś w Polsce lub w Szwajcarii.

GA: Jak Bóg da. Nie mogę się doczekać. Bardzo dziękuję.